№ 1 BEZPŁATNY DODATEK DO „SŁOWA" KWIECIEŃ 1931

ŻAGARY

MIESIĘCZNIK IDĄCEGO WILNA POŚWIĘCONY SZTUCE

IDĄCE WILNO, A WIĘC POKOLENIE, KTÓRE DOPIERO STARTUJE. STARTUJE NA JUŻ PRZEZ SIEBIE WYBRANEJ BIEŻNI.

NIE TWORZYMY GRUPY, SZKOŁY, KIERUNKU. ŁĄCZY NAS WSPÓLNY WYSIŁEK RACZEJ, NIŻ JEGO CHARAKTER. FAKT, ŻE PISZEMY CZY MALUJEMY, A NIE — ŻE PISZEMY I MALUJEMY TAK LUB INACZEJ.

„IDĄC" MIJAMY, NAPOTYKAMY CAŁY SZEREG ZAGADNIEŃ, DO KTÓRYCH MUSIMY SIĘ USTOSUNKOWAĆ. STĄD TEŻ I NASZ SĄD O „STARSZYCH".

NIE JESTEŚMY GRONEM ZAMKNIĘTEM. PRZEWIDUJEMY WSPÓŁPRACĘ LUDZI, O KTÓRYCH NAWET ISTNIENIU DZIŚ NIE WIEMY. ZAPRASZAMY ICH DO WSPÓLNEGO STARTU.

OGRÓD

Kobiety białe i pulchne, jak śnieg przygrzany słońcem
kocim, niedbałym ruchem trą się o męskie ramiona.

Wtulają ciepłe barki zlekka zaróżowione
pod skrzydło spojrzeń łakomych rozpiętych jak opończe.

Śniade i chude dziewczyny, których brunatne piersi
sterczą zuchwale pod tiulem, jak głazy pod nurtem strumienia.

Łażą po wiotkich jabłoniach, które dostały sierpień
ciężkiemi guzami owoców przytłoczył i zarumienił.

Loki matowych blondynek; ich oczy szklisto-niebieskie
duże jak stawy rozlane pod czołem dziecinnie wysokiem.

Patrzą na świat naiwnie, a małe figlarne pieski
Leżą na ich kolanach, warcząc na ciemne obłoki

Panowie w sportowych raglanach opanowani i chłodni
cedzą przez zęby słówka zmieszane z białawym dymem.

Siadają leniwie na ławki, przykryte rudym kilimem,
strząsając popiół z uważnie zaprasowanych spodni.

A potem zaczyna orkiestra w altanie dalekiej ukryta
grać arje z „Króla Rogera" i stary polonez Szopena,

Nim łan słomkowego zachodu nie stopi się z łanem żyta
i nad ogrodem zawiśnie seledynowa Selene.

Teodor Bujnicki.

ZACHÓD IMAGINISTYCZNY

Grążyło się w horyzont, jak ziarno kuliste
I rosło z horyzontu, krzakami z karminu.
Usta twoje, jak melon rozcięty soczyste
Przypomniały mi wyraz zagubiony: wyłąd.

Po Nilu, jak dalekim, stada krokodyląt
W chlupocie fal mulistych kawalkadą płyną.

W niskodrzewiu korali, w południowem morzu
Żagle, płetwy i myśli niziutko położym.
Rozgwiazdy, klosze meduz i grzyby gąbczaste
Przywitają spokojem, jak umarłe miasto.

Kto nam ujął kolorów, a modlitwy dodał?

Fantastycznie migocze wysoka uroda
Piękniejsza, niż posągi, niż brwi twojej zarys.
W niebie — stawie, nalanym fjoletową wodą
Splecione dwukolorem buchają Antares.

Jerzy Zagórski.

OJCZYZNA

Długie surmy poziomo ponad horyzontem
Ku wargom wznoszą się powoli
Lasy wżarte w niebo uciszone
Drogi zgięte jak ramiona mątew —

Kołysane, układane w rękach
Surmy do góry grają
Nas spokojnych i męskich i twardych
Żałobnie i prosto witają —
Upadamy w piachy dróg. Trawy szarpiemy. Boli.
Melodja huczy w lasach. Parzy niby witrjolej.

CZESŁAW MIŁOSZ.

Zbrodnie przymiotnika

Jak każda z form ekspresji literackiej, miał przymiotnik swoje dobre i złe czasy. Romantyzm, a potem „Młoda Polska" wyniosły go na piedestał, ubronzowały i nadużyły. Właściwie dla ścisłości była pewna grupa specjalnie cenionych, wybranych przymiotników—arystokracja wypieszczonych słów.

Czasy bezpośrednio powojenne, potrzeba gruntownej rewizji wszelkich poglądów na formę i sposoby poetyckie, wycisnęły piętno i na stosunku do przymiotnika, jako formy gramatycznej, i jego odpowiednika w stylu — epitetu. Niechęć i rezerwa, z którą nagle zaczęto odnosić się do tej doniedawna ulubionej grupy wyrazów, miała źródła podwójnego charakteru:

1. Chwila przyniosła reakcję na nadu-życia form przymiotnikowych w szczególności w poezji, dokonywane celem ułatwienia autorowi roboty twórczej. Przymiotnik, jako najbardziej elastyczny ze wszystkich elementów mowy, najłatwiej dający się wgnieść i doczepić, używany był bez uzasadnienia głębszą potrzebą formalną, celem zapełnienia miary wierszowej.

Dokonywano tutaj kastracji kompleksów pojęciowych i obrazowych na rzecz rzekomego waloru dźwiękowego. W ten sposób odciskała się tyranja miary na wartości formalnej utworu, dowodząc, że nie spełnia jednego ze swych zadań — utrudnienia roboty poetyckiej. Autor obchodził trudność, idąc po linji najmniejszego oporu. Czasy po wojnie przyniosły jako konieczność utrzymania poziomu sztuki poetyckiej postulat dalszych utrudnień (Leonard Podhorski - Okołów „Dość banalności" Skamander 1922). Zwrócono się więc m. in. i przeciw nadmiernemu, a niepotrzebnemu przymiotnikowaniu w poezji. Obecnie taran, wymierzony w tym kierunku, trafia w próżnię. Wobec zmian, jakie zaszły w poglądach na rytmikę wiersza, w szczególności zaś detronizacji i degradacji miary rytmicznej, nie można zwalczać przymiotnika tym argumentem. Miara nie jest już bożyszczem, które zmuszałoby do składania cieląt ofiarnych z bezbarwnych obrazów, czy pozbawionych wartości logicznej pojęć.

Motywy nadużyć mogły jednak tkwić gdzieindziej. Już nie dźwiękowa, ale obrazowo - pojęciowa strona i związane z nią napięcie emocjonalne, domagały się od autora dużego wysiłku. Autor starał się wykpić, dobierając słów łatwo pobudzających, słów o reputacji ogierów. Zamiast oddać subtelnemi odcieniami obrazowania stany uczuciowe, nazywał je poprostu po imieniu, lub stwarzał sztuczną atmosferę gorąca dzięki zwrotom etykietalnym. I tutaj kwestja ma dwa oblicza, zależne od dwóch punktów podejścia. Z jednej strony sprzeciwia się to postulatowi utrudnień, postulatowi mozolnej konstrukcji poetyckiej w zgodzie z zasadą ekonomji. Charakterystyczny jest fakt, że w rezultacie formy te nie wyrażały stanów pożądanych, lecz tylko nazywały je — a to w związku z dewaluacją znaczenia pojęciowego nadużywania przymiotników — były środkiem nieoszczędnym, nie spełniały zadania, pochłaniając jednocześnie koszt trwania. Druga strona zagadnienia — to właśnie ów ciągły spadek formalnej wartości pojęciowej. Istniał pewien ograniczony żelazny kapitał przymiotników, nadających się na surogaty pożywki poetyckiej. Stosunkowo nieduża liczba tych „błękitno - krwistych" epitetów łatwo emocjonujących (np. dziwny, cudowny, ogromny, szalony i wogóle wszelkie nieokreślone o zdolności do rozdymania sąsiednich pojęć) spowodowała ich wytarcie się, i utratę pierwotnego znaczenia. Literatura znała je za dobrze, posługiwała się niemi w zbyt wielkiej ilości drobnych wypadków, aby mogła je długo cierpieć. Przymiotniki te mają miedziane czoła natrętnych wierzycieli, zbyt bezczelnie pewnych niewinnych pożyczek, zaciągniętych przez literaturę. Dlatego nie wolno ich puszczać poza przedpokój literacki, a najlepiej byłoby zrzucać odrazu ze schodów. Jak dotąd, wszystko dobrze. Ale czy ta zbrodnia ma obciążać całe społeczeństwo przy-

-niotnikowe, organizm bogaty i pełen niewyczerpanych możliwości? Czy upośledzony dotąd proletarjat, a w szczególności l u m p e n p r o l e t a r j a t p r z y m i o t n i k ó w — pogardzanych i nieużywalnych (tp. tworzonych i bezpośrednio uzależnionych od rzeczowników w rodzaju: „telefoniczny") ma napotykać zaporę w zwycięskim marszu na podbój poezji?-

Nie! Kwestja powinna być rozpatrywana właściwie nie na płaszczyźnie: przymiotnik zużył się lub nie, lecz z punktu widzenia z u ż y w a n i a s i ę s ł ó w w o g ó l e. Jeżeli nadużycia odbiły się przedewszystkiem na zdrowiu przymiotnika, to tylko wina jego słabej kompleksji, jego niesamodzielności w zdaniu. Analogiczny proces zachodzi jednak, jeżeli się przeniesiemy na każdy inny teren form poetyckich — jest mnóstwo zużytych metafor, stosowanych w mowie potocznej przy każdej sposobności, zakutych w formę przysłów, które właściwie straciły już znaczenie metaforyczne. Tak samo przymiotniki nasze straciły pierwotne znaczenie, przeszły do niższej klasy symbolów logicznych. Podobnie przedstawia się sprawa i z nadużywanemi rzeczownikami, ale: 1) rzeczowniki były mniej nadużywane — ponieważ był większy wybór i niezawsze mogły spełniać rolę katalizatorów emocji, co przymiotniki; 2) nawet do zużytych rzeczowników zastosować można metodę odmłodzenia, przeszczepiając na nie gruczoły nowych zestawień (w pierwszym rzędzie przymiotnikowych). Odmłodzenie samych gruczołów byłoby nieco trudniejsze; 3) rzeczowniki, jako symbole pojęć konkretnych lub konkretno -abstrakcyjnych z istoty swej należą do wyższej klasy pojęciowej i dlatego trudniej ulegają degradacji znaczenia.

Mimo to jednak da się powiedzieć o pewnych rzeczownikach, że zdewaluowały się i przeszły do niższej kategorji elementów logicznych, tracąc znaczenie konkretne lub konkretno - abstrakcyjne, i co za tem idzie, oznaczony granicznie zakres. Najczęściej odpowiadają one podobnym zdegradowanym przymiotnikom, np,: moc, ogrom, cud, i t. d..

Wprawdzie St. Ign. Witkiewicz uważa kategorję pojęć nieokreślonych, np.: „ktoś", „coś", „jakoś" za wyższą od pojęć określonych ze względu na większy współczynnik potencjalnego bogactwa i wewnętrznego napięcia, trzeba jednak przyjąć, że dopóki pojęcia te nie zostaną zdyskontowane przez podstawienie pojęć innych, konkretnych, ich potencjalna wartość jest artystycznie bezwartościowa, że zatem same przez się stanowią niższą kategorję formalno - logiczną.

Stefan Jędrychowski.

— Wystawa Cechu św. Łukasza stud. USB. w foyer Teatru Miejskiego na Pohulance zaznajamia nas z dorobkiem artystycznym członków Cechu i kilku niezrzeszonych. W wystawie biorą udział: A. Czerniewski, J. Hawryłkiewicz (niezrzeszony!), R. Jakimowicz, I. Karpińska, J. Klukowski, Kosmulski, Maculewicz, Z. Miziewiczówna, Okulewiczówna, Pietkiewicz, A. Popławski, A. Rozwadowska, Sękalski, P. Siedlecka, P. Siergijewicz, J. Singer, Staromiejska, Wawrynówna.

Na czoło wysuwają się: P. Siergijewicz, Rozwadowska, I. Karpińska, A. Czerniewski, A. Popławski, oraz doskonałe drzeworyty R. Jakimowicza.

Dotychczas wystawa Cechu, tak samo zresztą, jak niedawna wystawa Bractwa Artystycznego Słuch. USB., nie doczekała się ani jednej recenzji. Czyżby nie znalazł się w Wilnie nikt powołany?

A może grają tu rolę względy pedagogiczne? **iwk.**

Fragmenty z poematu — buffo

Pachnący liljami pan, w lśniącym, czerwonym cylindrze
I z pękiem rudych storczyków, włożonym do butonierki
Przyszedł do majstra Adolfa, którego lipiec tak przygrzał
Że ciągnął od siódmej rano z zielonej, pękatej manierki.

— Majstrze Adolfie. — Potrzeba trumny wikwintnej i mocnej
Bowiem przyjaciel nasz umarł i gnić już nawet zaczął
Przestań więc patrzeć w butelkę zmętniałem okiem miłośnie
Poszukaj dobrych desek — niechaj się w cieple nie spaczą. —

— Nie paczą się deski panie. W trumnach jest dosyć wilgoci
Gdy z trupa pocieknie sok — deski dębowe przepoi —
Zróbimy trupowi poduszkę ze świeżych trocin —
I będzie mu wygodnie, jakby we własnym pokoju.

— Słuchaj majstrze Adolfie — trumny nie maluj na brąz
Ale niech będzie ponsowa jako wiosenne świtanie
Krzyża na wieku nie dawaj, bo my jesteśmy poganie
A zamiast niego trzy srebrne podkowy w jedno związ. —

— A wieko ma być na zawiasach — jak w opowieściach Poego
Aby umarły usiąść wygodnie i łatwo mógł
Kiedy nad głową posłyszy czołgów miarowy stuk
I warkot samalotów niosących chwałę złego. —

Teraz chodź, by zdjąć miarę i spiesz się, śpiesz z robotą.
— Panie, tego nie trzeba — znam dobrze jego wymiar.
Robiłem mu przecie łóżko z hebanu bitego złotem,
Gdy kupił Michaud i chciał ją godnie przyjąć.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Przed domem posypano ulicę zwiędłym ajerem,
Bo przyjaciele mówili, że raz się przecie umiera.

Na szóstem piętrze leży. Saksofon od beku mdleje,
Muzykom od senności oczy dziwnie maleją.

Nie można ni chwili ciszy, nie można mruczeć brewjarza,
Bo niespokojne prawdy na martwej odnajdzie się twarzy.

Czeszą, czeszą fryzjerzy włosy czarne i lepkie,
Golą zaskrzepłe bruzdy i gorączkowo szepczą.

Możecie spokojnie panowie. Możecie nawet zaciąc.
Zupełnie grzeczny, łagodny jest ten wasz dobry pacjent.

Toaleta gotowa. Frak barwy palonej cegły,
Gwiazda Sowietów Birmy I krzyż żołnierzy poległych.

Nagroda za bieg stu metrów na amsterdamskim stadjonie
Obrzmienie nozdrzy. Wargi krzywo spięte. Koniec.

CZESŁAW MIŁOSZ



Piotr Siergijewicz — Z a l o t y (ol).

R E L I G J A

Z za szyby w suterenie więdnące nasturcje
Patrzyły w dom rozpusty, jak w daleką przystań,
Gdzie kobiety z Wołynia, Marsylji i Turcji
Kołysały biodrami w tango powłóczystem.

Jak mróz, jak zorza rosła nad światem konieczność,
Jak szklana geometrja kaktusów — drapaczów.
Kastraci u Steinachów błagali o wieczność
I ryczały szympansy w bezbronnej rozpaczy.

Wśród wrzosowisk Bretonji po pod morza szum
Czytał człowiek o twarzy uwłosionej pudla,
Że murzynka — fenomen potwór gęstokudły
Śpiewa głosem, świszczącym, jak kule dum-dum.

Prelegenci wróżyli antychrysta przyjście,
Zrobił z tego tom wierszy popularny wieszcz,
A na stokach Tybetu prężył wiotkie liście
Lotos latem liźnięty przez promieni deszcz.

Potęgę mórz i wichrów, którym wolność wydarł,
Człowiek — mózg maszynowy w kryształy zespolił,
Czterdziestu sprawiedliwych odpłynęło z Byrdem.
Żegnała Metropolja — słup zastygłej soli.

Jerzy Zagórski.

SKRZYDŁEM TĘCZY

List z dalekiej wyimaginowanej podróży.

I.

Od początku, od samego początku działy się rzeczy niezwykłe. Płynąłem małą łódką, małą wywrotną łódką po czarno - sinej strudze. Dokoła nie było nic. Wysokie prostopadłe skały, zawrotne urwiska. Jaskrawo białe szczyty, na których królują jaskrawo-czerwone zamki. Wiatr wyje gdzieś w górze, bardzo wysoko, bardzo żałośnie. Czarny wiatr jęczy na wapiennych białych szczytach, czarny wiatr zawodzi w ruinach czerwonych zamków. I jest słońce. Ogromne — potężne — jasne — świeci mi prosto w twarz. Małą, wywrotną łódeczką czarno - siną wodą płynę ku słońcu.

I to jest właśnie dziwne i niezwykłe: płynę ku słońcu. Słońce spoziera mi w twarz i ślepi. Ogromnieje coraz bardziej, rozrasta się i rozświetla. Pół nieba zajmuje — wielkie — potężne — słoneczne.

Jest biało... złoto.... purpurowo... Oczy moje widzą więcej, niż przedtem. Płynę małą wywrotną łódką po rozżarzonej do białości wodzie.. Ogniste wachlarze palm wyrastają przede mną, ogniste warkocze komet biją mię po twarzy. Złotopłynne fontanny strzelają w górę i tu... i tam.... i jeszcze dalej — wszędzie. Już nie wiatr wyje i jęczy na białych szczytach wapiennych — już płomień huczy tylko, płomień tylko jęczy żałośnie. Jestem ogarnięty dokoła, jestem roztopiony w jasności.

Płynąłem w słońcu.

I lęk wzbudzić mogła postać starca, którą ujrzałem. Oto wyszedł z płomiennego wnętrza i szedł ku mnie rozjaśniony i potężny. Brodę miał gorejącą płomieniem i rozwianą, furkocącą, ujętą z obu stron w ogromną obręcz języków ognia, które okalały mu głowę. Wzniósł dłoń do góry i gromy runęły gdzieś w przepaść. Byłem na wysokościach. I płynąłem po niezmąconej powierzchni chmur. Płynąłem na małej wywrotnej łódce, a pode mną była burza. I padał grom i lał deszcz i szalała wichura — pode mną. Chmury się przelewały i płynąłem po białych rozfalowanych kłębach obłocznych. Starzec odchodził. Purpura bladła i przechodziła powoli w półblask, półton, półseledyn. Złoto stawało się srebrem, a biel błękitniała w błękit. Coraz dalej był starzec ognisty i coraz spokojniej było i pogodniej. I znowu płynąłem po strudze, jeno struga była siedmiobarwna i zwała się tęczą. Ciemniała coraz bardziej. Znów się zrobiła sina, sino-czarna, czarno-sina. Płynąłem, a nade nią błyszczały w słońcu jaskrawobiałe szczyty wapienne z królującemi na nich zamczyskami. Zamczyska były czerwone, jak krew.

II.

Dwaj młodzieńcy grali na harfach, na olbrzymich harfach złotostrunnych, złotostrunnych i złotopłynnych. I kładły się miękkie tony harf na czerwon[illegible] na szkarłatne, na szkarłatne i z[illegible] fanfary trąb. I grzmiały bębny i [illegible]czały cymbały i śpiewały cicho, [illegible]dzo cicho, fletnie.

Marzę często, kochana moja, napisać do Ciebie z przepastnej [illegible] w której jestem — list. I próbuj[illegible] sać i wciąż próbuję napróżno. Bo[illegible] to ma być nie list, nie kronika [illegible] fabuła. Nie piszę tego do Ciebie [illegible]szę dla C i e b i e ten nie-list, kronikę, nie-fabułę. Oto piszę dla [illegible]bie poemat.

Jest zimny, jak zimna jest w[illegible] w jasnych marmurowych cystern[illegible] w białych alabastrowych basen[illegible]



P. Siergijewicz Portret (ol).

jak srebrna woda, której nigdy nie całował promień słońca, jak srebrna woda, której dziewiczość chronią gibkie zielonowłose palmy, której toń mącą jedynie małe złote rybki, które są zaklętemi królewnami.

Jest zimny, jak ogromne, płonące w zorzy borealnej, lodowce, których rozgrzać nie może żar słońca, ni ciepło wody, które świecą czerwienią, ale czerwienią, która jest sina, jak siny jest mróz i śmierć.

Jest zimny, jak klinga lśniącej szpady damasceńskiej, którą próżno chcą rozpalić złote, sypiące się z niej iskry, której rozżarzyć nie można w wirze walki, ni w śnie spokoju, której rozgrzać nie mogą nawet gorące przebite nią serca.

Jest zimny, jak przepastne międzygwiezdne przestrzenie, czarne i groźne, w których wirują gwiazdy, które migocą i drżą; i zimny jest, jak wiele serc ludzkich, najnieszczęśniejszych serc ludzkich, a imię których jest — śmierć; jest zimny, jak biel bywa zimna czasami, i jak dźwięk gwizdu, przeszywającego duszę i szarpiącego nerwy, bywa czasami zimny, i jak wielkie lustrzane szyby wystawowe na wielkich ulicach miast, na ulicach, po których chodzą bardzo biedni ludzie w łachmanach i głodni, i jak słowo bywa czasami, słowo, lub uśmiech, zimne i ostre jak szpilka.

Zimny jest mój list, mój list-poemat, zimny owem staraniem o piękno, które jest zimne, jak postać Venus Milońskiej, lub jak uśmiech Tyji, księżniczki Mittanów. Zimny jest, jak brosza cudnie wycezylowana ze złota, ozdobiona tysiącznie, wypieszczona i wypolerowana, w której tkwi wielki szlifowany djament, najzimniejszy z kamieni. Gwiazdy białe błyszczą i drżą w tem zimnie.



Ir. Karpińska. Kompozycja (ol).

Lecz w głębi tego listu, tego listu-poematu tętni me serce. I pod zimnem, pod lodem i mrozem, pod temperaturą najniższą, z najniższych, pod temperaturą, w której się skrapla i tlen, i wodór, i hel, gdzieś tam w niedostrzegalnej głębi huczy płomień. Huczy żar i pożar i pożoga. I drga mroźna zewnętrzna skorupa. I faluje, łamie się i pęka i zapadają mroźne szczyty lodowe i topią się w żarze większym od słońca. I oto płonie mój list, mój list-poemat, który piszę do Ciebie z przepastnej dali, w której jestem.

Więc uderzcie w złotostrunne harfy i zagrzmijcie czerwone, szkarłatne i złote fanfary. Grzmijcie bębny i dźwięczcie cymbały i śpiewajcie gromko, bardzo gromko fletnie.

III.

Oto jest najniezwyklejsza podróż świata. Płynę małą wywrotną łódką po czarno-sinej strudze. Dokoła mnie: wysokie prostopadłe ściany. Lśnią stalą. Sączą się po nich duże krople wody, jak łzy olbrzymów, płaczących nad własną nicością. Spływają na dno wąwozu, gdzie płynie czarno-sina struga, gdzie ja płynę na małej wywrotnej łódeczce.

W wąwozie grzmi wichura. Rozfalowują się nurty strumienia. Dygoce wszystko dokoła, dygocą szare prostopadłe ściany. Drżą i chwieją się i słaniają. Zwolna, bardzo wolno rozchylają się na obie strony — jak serce. Płynę po szerokiej płaszczyźnie wodnej, po rozpalonem płynę morzu. Piana wzbiera i przelewa się i przysłania mi oczy, że patrzę na świat, jak przez bańkę mydlaną. Rozlewa się przede mną siedmiobarwna tęcza i owija świat cały. Napróżno czarne chmury zakrywają słońce, napróżno czarny wicher wyje nad wodami. Czarne fale wznoszą się, grzmią i kołyszą, czarne fale z białym grzebieniem. Biały grom rozbija gęsty mrok. Burza huczy nade mną.

Lecę w przestrzeń nieznaną na małej wywrotnej łódce. Ciemność zawiązała mi oczy czarną nieprzeniknioną opaską.

Oto gdzieś, z płomiennego wnętrza szedł starzec rozjaśniony i potężny. Brodę miał gorającą i języki ognia dokoła głowy. Rozjaśniła się czerń dokoła, rozpaliła się w biel — w złoto —w purpurę. Ogniste wachlarze palm wyrastały przede mną, ogniste warkocze komet biły mię po twarzy. Przymknąłem powieki. Starzec już odchodził. Purpura bladła i przechodziła powoli w półblask, półton, półseledyn. Wschodziło słońce.

Ranek był piękny. Słońce patrzyło na mnie z za zielonej kotary wód. Wokoło był bezmiar morza. Panował kolor szmaragdu. Tonąłem w zielonawych odcieniach, miałem głowę owiniętą zielonym welonem. Mgła zielona i przezroczysta napełniała przestworza.

Płynąłem. Zdala ukazał się kontur wyspy. Słyszałem pienia, jakich nie słyszał jeszcze ani jeden człowiek na świecie. Ton głosu przywodził mi przed oczy odcień seledynu, odcień łagodnej śmierci. Płynąłem ku wyspie. Oto rosła w mych oczach szmaragdowa, smutna wyspa, wyspa umierających łabędzi. W ogólnej zieloności tylko one były śnieżnobiałe. Łagodnie wachlując skrzydłami, śpiewały. Śpiewały i marły. Długie szyje skłaniały ku ziemi i marły. Rozpływały się w otoczającej zieloności, jak czerń rozpływa się w światło, roztapiały się, jak purpura roztapia się w jasność. Wraz z całą wyspą ginęły, nikły, błękitniały. Wpływałem w kraj następny.

Błękitny kraj marzenia zmienny był i płynny. Młoda piękna dziewczyna z aureolą dokoła głowy modli się o świętość. Młody chołpiec z promieniami dokoła głowy modli się o wielkość. Twarze ludzkie zadumane i jakby uśpione przysłaniał błękit. Ciemniał, gęstniał, zmieniał się w fjolet, w barwę cichego cierpienia.

Ludzie kroczyli zwolna w ciemnych fioletowych ubraniach, okapturzeni i smutni. Śpiewali zmęczonemi głosami smutne pieśni o łagodnym kolorze lila.

Zagrajcie gromko fanfary — oto jest kraj miłości. Widzę Ciebie, Kochana, przez rubinową mgłę. Kowale stanęli dokoła, kowale z dużemi młotami na długich giętkich trzonkach. Kują kowale w me skronie, walą oszalałym rytmem mego serca. Iskry ognia sypią się dokoła. — Gdzie się podziałaś, Miłości....?

Roześmiał się do mnie radośnie kraj koloru pomarańczy, roześmiał się śmiechem i tańcem, gorący piaskiem plaż, słonecznym blaskiem lic. Rozszalał się radośnie kraj koloru pomarańczy, rozhulał się i rozpętał, rozkręcił się szaloną karuzelą, rozprysnął się nieziemskiem weselem, rozedrgał się kolorem pomarańczy.

I błysnął w dali kraj ostatni, złoty kraj szczęścia. Zawróciłem moją małą wywrotną łódeczkę.

Gdyż, aby się stać szczęśliwym, trzeba być bardzo odważnym.

IV.

Oto kończę, Kochana moja, ten list-poemat — zimny jak lód gorący jak słońce, list z dalekiej wyimaginowanej podróży. Odchyl teraz głowę na poręcz fotelu i przymknij powieki. Oto przesłoniłem je skrzydłem tęczy, po której płynę małą, wywrotną łódeczką.

Antoni Gołubiew.



A. Popławski. pejzaż (ol).

RYGA

Po szerokich, rozgrzanych chodnikach,
ocierając się o parki i skwery
urządzamy długie spacery,
bez planów i przewodników.

Patrzymy w wodę kanału,
na róże rozkwitłe na klombach.
Trzeba wszystko tutaj oglądać
ostrożnie i pomału.

A potem usuwamy się w cień,
w zaułki, bramy i wieże,
mury, na których leży
dawno miniony dzień.

Lwy z obręczami w pyskach,
podkowy złote Batorych,
daty zamknięte w koliskach
powykrzywianych wzorów.

Strome dzwonnice kościelne,
koguty blaszane na szczytach,
korne miasto w dole się ściele
za stopy kościoły chwyta.

A kościoły wyniosłe twarze
obróciły ku morzu i Dźwinie
i słuchają jak śpiewają marynarze
o miłości, wolności i winie.

TEODOR BUJNICKI

OLEJARNIA

(FILM REKLAMOWY. PROJEKT SCENARJUSZA)

Parę rzeczy wyjaśnia autor: Olejarnia jest tak samo dobrym tematem dla sztuki, jak miłość, czy bohaterstwo. Artystyczne możliwości wcale nie znikają, gdy się temat opracuje dla reklamy. Tylko skala wartościowa będzie mniejsza. Reprodukcja Giocondy na cukierkach — rzecz ohydna, ale specjalnie skomponowana etykietka — może być piękna. To zresztą komunał. Nie trzeba unikać prac dla reklamy. Wnoszenie wartości użytkowych (zakres ich szeroki: od reklamy aż do najszczytniejszych tendencyj) rzemiosło artystyczne jest dobrem ćwiczeniem. Wyraźne przeznaczenie dzieła każe uważać na kształt, pilnować konstrukcji, — uczy komponować. Zresztą pracować w reklamie trudno — tak jak rzeźbić w bryle, już posiadającej pewne kształty.

---

1. Przyjemnie jest oglądać dzieci, które wracają z wycieczki miedzą po przez łany lnu. Wiele płowych, jasnych główek — czuprynki właśnie, jak len. Łany lnu — główki dzieci mile się układają w łańcuchu naszych skojarzeń.

Szkółka pod otwartem niebem. Te same dzieci. Naturalnie tablica. Napis: „Wszystkiego się dowie, kto ma olej w głowie". Napisała to pewnie nauczycielka, która jeszcze trzyma kredę w ręku. Spostrzegamy naukowe kartony: włókna lnu, powiększone ziarna, kwiatki. Len... olej — rozumiemy, o czem mowa. Naprawdę, jak bardzo rozwiane włosy dzieci przypominają falujące łany lnu!

2. Czworo dzieci przypatruje się ważnej czynności. Matka smaży bliny. Nie widzimy całej postaci gosposi, widzimy tylko rzeczy istotne: patelnię, smażące się bliny, rękę, która dolewa oleju z butelki. Znów olej! Spostrzegamy etykietę butelki: „Wyborowy olej lniany z olejar........". Duża misa z blinami wędruje na stół. Czworo dzieci już przy stole. Smaczne, okrągłe bliny! Czyż nie przypominają nam okrągłych placków makuch, ułożonych w stosy?

3. Zatem okrągłe makuchy ułożone w stosy. Makuchy potem się rozciera i rozwadnia. Cztery krówki czekają przy korycie na pokarm. Troskliwy parobek przynosi wiadro tego smacznego, zdrowego napoju, — roztartych makuch. Pyski krowie zanurzają się w smakowitym płynie. Może bydlątka nie umieją tego okazać, ale my potrafimy dostrzec, że są zadowolone. „Makuchy to przecież doskonały pokarm dla bydła!" Zresztą przypatrzmy się tym krówkom, jak świetnie wyglądają! Z przodu, z boku, z góry — miejmy odwagę spojrzeć nawet z tyłu: Ogony jak pędzle, macha się niemi w prawo, w lewo, opędzając się od much.

4. Ogony były jak pędzle. Więc teraz pędzle. Jakieś ręce posuwają pędzle po jakiejś powierzchni. Palce próbują: namalowane — schnie dobrze! zadowolone, uśmiechnięte profile malarzy. „Co to znaczy dobry pokost, kupiony wprost z olejarni!" Pędzle latają coraz szybciej. Dwa pędzle, trzy, cztery.... ruszają się rytmicznie, b. szybko.

5. Może to już nie pędzle? To już dźwignie, błyszczące tłoki maszyn, które pracują w pocie oliwy. Kotły, maszyny, strugi oleju, ściekające do rynien. Oglądamy pewnie kolejne stadja produkcji. Zatem konkretyzujmy: „wytwarza się najlepszy olej lniany, makuchy, pokosty, szybko schnące".

Gdzie?. Z bramy po pochyłym pomoście toczą się wolno beczki, jedna po drugiej. Na dnie mają jakieś napisy, których nie można narazie odczytać, bo obracają się. Gdy beczki zatrzymają się, przeczytamy. Trzeba się tylko zbliżyć. Napis na pierwszej już widoczny, teraz na drugiej, na trzeciej..... „Olejarnia..... adres..“ Napis na cały ekran. Słowa olbrzymieją. Dobrze, już pamiętamy! Koniec.

A. Bohdziewicz.

KAMYCZKI W OGRÓDKU

Ponieważ z Leczyckiego i jego „Sztuby“ o mało nie zrobiono „Przestępców“, celem zdjęcia ich z afisza, ponieważ na Pohulance pokazują nam naprawdę przestępców, ponieważ w inscenizacji Salome nie mogliśmy się domyślić, dlaczego jedna kolumna stoi ukośnie, teatr i życie wytworne należy pozostawić na boku.... W każdym razie Leczycki wyszedł cało. Jedni atakowali jego sztukę za brak wartości teatralnych, drudzy bronili ją za posiadanie wartości społecznych. Czołgi argumentów stron obu rozminęły się, autor pozostał na placu i na afiszu.

Ostatniem echem niedoszłej bitwy był strzał w stronę feljetonu niepoważnego p. Wysz., który obelżywie zaproponował p. Leczyckiemu pisanie o aptekarzach. Obelżywie dla aptekarzy. Farmaceuci obrazili się i to ostatecznie uratowało Leczyckiego.

„Uratowany!“ — wykrzyknął niedawno jeden z wilnian, dowiedziawszy się o tem, że dostał 2000 (słowami: dwa tysiące) złotych za wierszyk. Uratowało go to od wierzycieli, a uradowało jeszcze bardziej. Nie chcę o nim nic pisać, bo się będzie mścił, zresztą i tak mu już wszyscy dokuczają. Interesowało mię tylko, dlaczego nikt inny swych wierszy na konkurs nie posłał. Laureat otworzył mi na to oczy, stwierdziwszy, że dopóki nie wiedział o przyznaniu mu nagrody, (jego własne słowa), sam opowiadał, że do konkursu nie stanął. Pozatem zaznaczył, że pieniędzy już nie ma, ale cieszy się, że wsławił Kresy, Wilno, U.S.B., Wydział Prawny i stan sekretarzy adwokackich. Z czasem jeszcze będziemy go przyjmowali herbatą na Środzie literackiej.

Z temi występami sławnych mężów i (żon) pań na „środach“, to też nie jest tak łatwo, jakby się wydawało. Przyjeżdżała np. p. Magdalena Samozwaniec. Wygłosiła dowcipny odczyt i przyjmowano ją herbatą. Cóż kiedy p. Łopalewski popełnił brzydki faux pas, wygłaszając prelekcję samozwańczo dowcipniejszą, niż to, co potem nastąpiło. Naogół wspomniana środa odznaczała się nietyle herbatą, ile bigosem, wywołanym brakiem dyskutantów na temat filmowy. Jednym z punktów bigosu było przemówienie kompozytora—laureata, p. Maliszewskiego o szacunku dla polskiego kompozytora. Jest rzeczą pewną, że oklaski, któremi powitano Maliszewskiego wypływały wyłącznie z szacunku publiczności dla polskiego kompozytora; publiczność nawet zadowoliła się przemówieniem kompozytora i nie uważała za stosowne w dwa dni później słuchać jego koncertu, który rzeczywiście mógł w niej jeszcze większym stopniu wzbudzić szacunek.

Publiczność jednak czekała czegoś więcej i zadowoliła swe najwybredniejsze upodobania, słuchając w ciągu kilku dni Rapsodji Węgierskiej Liszta w kinie Heljos. Piszę „Liszta“ dla informacji, sam Liszt możeby się do tego nie przyznał, myślę jednak, że i jemu byłoby przyjemnie patrzyć w ciągu kwadransa na orkiestrę, grającą jakiś utwór, przy zastosowaniu najnowszych efektów techniki instrumentacyjnej. Zresztą pewne przytłumienie dźwięku, jeśli chodzi o Liszta, wpływa bardzo dobrze. Zniekształcenia i nieznaczące fałsze, obniżanie i podwyższanie stroju, całej orkiestry (co za majsterszyk techniki!), dochodzące maksimum do ½ tonu, można byłoby znieść. Że np. skrzypek już parę sekund grał, a dopiero wtedy dolatywał nas głos skrzypiec, to było do wytłumaczenia, ponieważ dźwięk podróżuje wolniej, niż światło. Ale wszystko psuł kapelmistrz. Dyrygował tak spokojnie, że nie dawał powodu do najmniejszego uśmieszku. Taki niepotrzebny człowiek. Myślę, że mógłby wcale nie dyrygować. A właściwie i orkiestra mogłaby wcale tej rapsodji nie grać. A jabym wtedy mógł nie pisać.

Poszedłbym lepiej na Łukiszki i kupiłbym sobie na tegoroczne święta choinkę.

Wojciech Dąbrowski.

EX-LIBRIS

— Witold Hulewicz — Miasto pod chmurami. Poezje. Wilno. 1931. Nakładem i drukiem Ludwika Chomińskiego. Tłocznia „Lux“.

Są poeci, lubujący się w cyzelowaniu słów w zdaniach, zdań w okresach, lubujący się w malowaniu minjatur, w subtelnej pracy jubilerskiej, w opracowywaniu szczegółów. Temat, mający wielką siłę ekspresji, poruszający szerokie, ogólnoludzkie zagadnienia, jest dla nich raczej przeszkodą w twórczości, niż podnietą. Po drodze cyzelowania poszedł Hulewicz w omawianym zbiorku wierszy o Wilnie. Każdy wiersz jest tu wypieszczonem, wypolerowanem cackiem. Poeta pokazał nam raz jeszcze swą wybitną kulturę literacką, niesłychany umiar w dobieraniu środków wyrazu, harmonijną konstrukcję każdego wiersza. Jest ona typowa: utwór zaczyna się przeważnie od czterowierszowych strofek o rytmie klasycznym, równym i melodyjnym. Strofki te płyną i, gdy ucho się do nich przyzwyczaja, nagle zaczynają się rozpadać, rozczłonkowywać, rozsypywać — zmieniają się w wiersz wolny, zamknięty na końcu wytworną broszą jednozdaniowego zakończenia. — Linją, po której idzie Hulewicz, jest opis. Poeta daje nam wizerunek placów, domów, kościołów Wilna, ze specjalnem zamiłowaniem zwracając uwagę na momenty architektoniczno-ornamentacyjne. Operuje przeważnie wizją bryły i kształtu, rzadziej plamy i elementów muzycznych. To powoduje pewną jednostajność, zwłaszcza, że typ wierszy mało jest urozmaicony. Mimo, że wobec jednolitości zbiorku nie uważam za potrzebne popierać każdy swój sąd odnośnemi cytatami, nie mogę się powstrzymać od przytoczenia w tem miejscu paru charakterystycznych wycinków:

...Poblask szaro-mętny,
dwie, trzy płaszczyzny i muru wygięcie,
okno i daszek jasny, niewykrętny,
bruk plastyczny, obłoczek kulisty;
wszystko skąpe, płaszczyznowe,
wieloznaczne, monosylabowe,
prastare, a nowe —
jak na obrazie kulisty.

(„Skopówka“)

Przetrzymywanie się ściśle topografji miasta tworzy często wrażenie niemal nudy, którą nie zawsze zabić potrafią rokokowe koronki ornamentu. Np.:

Jest jeno baszta: wielościan z kamieni.
Już nie budowla, ale góry część,
co chyba z górą razem kształty zmieni,
a sterczeć będzie jak zawarta pięść.

Poeta ubrał basztę w szatę poetycką i kroczy dalej:

Dalej w zaroście drzew, kryje się mur,
bezsilna szczerba z wypłyniętem okiem;

(„Góra Zamkowa“),

Owo „dalej“, owe dokładne turystyczne zwiedzanie góry jest jednostajnie w swej typowości. Wszystko jest dokładnie, filigranowo i ozdobnie przedstawione i umiejscowione. Autor nie kryje się z tem, nie maskuje, owszem — raczej to podkreśla. Np.:

„Taki to kościół“ — dwukropek i opis, zresztą bardzo ładny. („Święta Katarzyna“).

Refleksyjność i ornamenty czysto pojęciowe są drugą charakterystyczną cechą zbiorku. Np.:

...Potem nic. Wnętrze. I odpływ w
zakręcie
To „nic“ wystarcza.

(„Skopówka“)

Albo czysto pojęciowe porównania:

...wysoka, jasna gwiazda Ostrej Bramy.
Soczewka gwiazdy, twarz Panienki
Świętej
Ciemniała z wiekiem...

(„Obraz odnowiony“)

„Soczewka“ nie jest porównaniem zrozumiałem na pierwszy rzut oka. Zapewne chodzi tu o moment skupiania: jak soczewka skupia promienie, tak „twarz Panienki Świętej“ skupia — czy ja wiem — spojrzenia... miłość.. modły..? Trzeba jednak zaznaczyć, że te czysto pojęciowe i dalekie określenia są używane z ogromnym umiarem i — co ważniejsza — nie przeładowują wiersza — więcej: w pewnych wypadkach, jak np. w wyżej cytowanym, robią wrażenie świeżości.

Zbiórek ma być poetyckim przewodnikiem po Wilnie bez względu na intencje poety. Już sam porządek wierszy jest charakterystyczny. Przytaczam: Najpierw imię Wilna („Wilno“), nazwa, którą przybysz wyczytał na szyldzie dworcowym.

Dalej: „Wjazd“, „Miasto pod chmurami“, „Ostra Brama“, „Mury Bazyljańskie“, „Monaster św. Ducha“, „Święty Jan“, „Dzwonnice“, „Skopówka“, „Żebracy“, „Ulica Mickiewicza“. Jednak zbiorek nie jest wizerunkiem Wilna — duchowo jest mu obcy. Nie maluje ducha miasta, jego specyficznej atmosfery, nie robi — pozwólmy sobie na frazes — syntezy artystycznej istotnych wartości miasta, prawie nie cofa się w jego przeszłość, nie ukazuje nam ludzi, nie wgląda nawet niemal wcale do wnętrz opisywanych gmachów. Równie dobrze może przedstawiać Wilno, jak Pabjanice.

Podkreśliliśmy już kulturę autora. Jest to kultura Zachodu, da się nawet umiejscowić w znacznej mierze we Francji jest to właśnie „powrót do Europy“. Autor nie rozumie, czy nie chce rozumieć, żadnego pierwiastku Wschodu, które przecież w Wilnie krzyżowały się i krzyżują z Zachodem. Poeta zyskuje przez to na zwartości, traci na wierności obrazu, — co zresztą, jest raczej artystyczną zdobyczą. Tylko, że.... „miasto“ pod chmurami“ to nie Wilno.

W szczegóły wchodzić nie będziemy. Prócz jednego wyjątku: oto pierwszy zkolei wiersz, a właściwie pierwsza jego połowa nasuwa poważne zastrzeżenia. O ile można kwestjonować, czy w słowie „Wilno“ „głównym dźwiękiem jest litera „i“ („której nie znają mali ani źli“ — hm!), tak jak w słowach „Wilk, Wici, Witold, Wicher, i Wigilja, to jednak można stwierdzić z zupełną pewnością, że w słowach: Więź, Wieczerza, Wierność, Wiara, Wieniec, Wiedza i t. d. — dźwięku „i“ niema wcale.

Zawiniła tu sugestja pisowni, która przecie tak często jest niezgodna z fonetyką.

Okładkę (słabą) rysował Michał Rouba. Książkę ozdobiono reprodukcjami 14 dzieł, graficznych Marji Dziewulskiej, Jerzego Hoppena, Romana Jakimowicza, Zbigniewa Kaliszczaka i Zofji Stankiewiczówny. **(ag).**

— Anna Nieławicka. Ametystowy Dzień. Poezje. Wilno. 1930.

Debiut młodej, bardzo młodej autorki. A więc rzeczy nierówne i nieraz wywodzące wyraźnie swą genealogję od znanych bogów, z lektury, branej zresztą dosyć bezkrytycznie. Ta ostatnia okoliczność szkodzi najwyżej autorce, posiadającej niewątpliwie to, co się nazywa „zadatki“. Powierzchowne orjentowanie się nie w treści, lecz w manierze „mistrzów“, łatwowierne branie z nich cech nieistotnych przy równoczesnej niestaranności w operowaniu środkami technicznemi — to są poważne braki, płynące z jednego źródła: poprostu „zawcześnie, kwiatku, zawcześnie“.

Nie znaczy to, bym po hipokrycku zalecał rilkowską formułkę z Maltego:

„Powinno się z tem czekać i gromadzić sens i słodycz przez całe jedno życie i to długie, o ile możności, a potem na samym końcu, może potem, mogłoby się napisać dziesięć dobrych wierszy“.

Aforyzm ten jest jest bardzo piękny, ale któżby nań zważał! Sądzę jednak, że wystąpienie ze zbyt niedojrzałą twórczością autorowi zaszkodzić może tylko w przyszłej jego karjerze poetyckiej, źle nastroić krytykę i czytelnika, a wreszcie — co jest bardzo istotne — zrazić go i pokłócić ze sobą i światem.

Stało się jednak. P. Nieławicka zgrzeszyła zbytnim pośpiechem, którego owocem rok temu wydany zbiorek i to dosyć pokaźny objętościowo: przeszło pięćdziesiąt panieńskich wierszy i wierszyków. Panieńskich, ale nie pensjonarskich. Bądź co bądź droga, którą idzie, którą pragnie iść p. Nieławicka, nie jest drogą najmniejszego oporu. Jest selekcja tematów, szukanie w otaczającym świecie zjawisk, przeżyć i idej, — przeżyć i rzeczy, rezonujących poetycko. Więc nawet w banalnym wierszyku o wiośnie, śniegu, czy księżycu, można znaleźć kilka ciekawych ujęć, metafor, spojrzeń. Ale z drugiej strony zbytnia łatwość, czy łatwizna pisania prowadzi do niedbałego stosunku, zwłaszcza, gdy chodzi o formę. Szeroki gest w operowaniu rymami, (bardzo dalekie powinowactwa dźwiękowe asonansów i półrymów), ignorowanie pointe'y końcowej, dużo zdawkowych wyświechtanych słówek.

Tak mało szacunku do narzędzia, nic z traktowania poezji, jako rzemiosła. W rezultacie: o prawie żadnym z wierszy zbiorku nie można powiedzieć, żeby był zły; ale też z czystem sumieniem trudnoby było uznać którykolwiek z nich za dobry, skończenie dobry. Najgorzej chyba wypadły krótkie czterowiersze (Pawlikowska!) — forma bardzo skondensowana i koniecznie wymagająca silnej, a raczej efektownej pointe'y. U p. Nieławickiej są one bardzo naiwne.:

Mój Boże, człowiek jest młody —
Smutki, trzymajcie się zdala!
Tymczasem chodźmy na lody
Do Zielonego Sztrala.

Pójść do Sztrala (ja osobiście wolę Rudnickiego) warto, ale to nie uratuje wiersza.

Są jednak w tomiku rzeczy, które należałoby wyróżnić. Np. „Napiszę wiersz“ („Słodki, aż do omdlenia: o duszących woniach, jak wiązka jedwabnego, mlecznego tytoniu“), „Aksamitny kot“, („I oczy zielone, rozwarte i pełne trwóg. Jak młody jeszcze poeta, jak zakochana kobieta“), „Jeżeli moja Muza“. Są one nawet ciekawe, brakuje im jednak przeżyć krwi i duszy, są tylko wrażenia: przeżycia nerwów. A to w dużej mierze przesądza o samej twórczości.

Jeszcze raz reasumuję: debiut o dobrych kilka lat przedwczesny, ale do pewnego stopnia obiecujący.

Czekajmy cierpliwie, „może z tego będzie co“. Ale niech się p. Nieławicka zanadto nie śpieszy z wydaniem nowego tomiku. To b. ważne.

Okładka zbiorku nieładna, układ także.

to.

Za Komitet Redakcyjny Teodor Bujnicki, Antoni Gołubiew.

Wydawca Stanisław Mackiewicz

Drukarnia Wydawnictwa „Słowa“ Zamkowa 2